

Paweł Paliwoda: Hegel – toksyczny po staremu

Inspiracje heglowskie i dziś są rozpowszechnione wśród elit liberalnych demokracji. Dlaczego? – pytał Paweł Paliwoda w czasopiśmie „Nowe Państwo”.

Inspiracje heglowskie nie tylko stanowiły podstawę myślenia marksistowsko-leninowskich elit komunizmu, ale i dziś są rozpowszechnione wśród elit liberalnych demokracji. Dlaczego tak jest? Łatwa wymówka dla postkomich – racjonalizacja komfortowych celów, ku którym niesie wybranych zdeterminowana historia.

Powiedzmy jasno: nie ma żadnych praw rozwoju społecznego czy historycznego. W porządku świeckim przyszłość świata nie jest ani zdeterminowana, ani w dłuższym dystansie poznawalna. Ani w naukach przyrodniczych, ani w humanistyce. Często zapominają o tym intelektualiści oraz publicyści – zwłaszcza ci, których myślenie zainfekowała koncepcja postępu oraz idee lewicowo-liberalne. Tymczasem, tak jak nie ma i być nie może historiozofii, tak nie może być praw postępu (czy, jak kto woli, regresu). Jedyna koncepcja wyznaczająca kształt historii, którą można uczciwie zaakceptować, to judeo-chrześcijańska teologia historii.

To jednak kwestia wiary – specyficznego rodzaju wiedzy, która nie uzgadnia się ze standardami współczesnej nauki. Można ją akceptować lub nie. Natomiast kryptohistorycyzmu akceptować nie wolno,

zwłaszcza, że w sposób nieuprawniony uwielbia podawać się za naukę (gdyby przeczesać dziś produkcję polskich uniwersytetów, zwłaszcza tych prowincjonalnych i prywatnych, otrzymalibyśmy cały stos pseudonaukowych knotów o charakterze historycystycznym). Ale co począć z miłym i optymistycznym człowiekiem, który z całej duszy wierzy w „postęp”, i chce “dobrze”? Karl Popper napisał:

„Czy historycyzm może być źródłem nadziei lub otuchy dla tych, którzy pragną, by świat stał się lepszy? Może nam to obiecać jedynie historycysta, który akceptuje optymistyczną wizję rozwoju społecznego, wierzy w jego z natury „dobry” lub „racjonalny” charakter, w tym sensie, że zmierza on ku lepszemu i coraz bardziej racjonalnemu stanowi rzeczy. Jednakże pogląd taki byłby równoznaczny z wiarą w społeczne i polityczne cuda, skoro odmawia on rozumowi ludzkiemu zdolności zbudowania rozumniejszego świata” (KRAĞ, Warszawa 1989, s.35).

Residua historycystycznych niedorzeczności w zakresie dyscyplin humanistycznych pokutują tu i ówdzie – zwłaszcza tam, gdzie marksizm-leninizm zapuścił najgłębsze korzenie akademickie (nie zapominajmy, że socjologią zwano wtedy materializm historyczny). Zarówno tu, jak i w mediach masowych, szerzy się historycyzm (historiozofię) i formułuje pewne formalnie namiastkowe antycypacje z zakresu przyszłych dziejów, zachowując względną powściągliwość stylistyczno-językową z uwagi na nieodwracalną destrukcję, jakiej doznał historycyzm w takich pracach, jak „Nędza historycyzmu” czy „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie”.

To bardziej wyrobieni autorzy. Natomiast wśród słabiej przygotowanych krzewi się wizja historii niepoddawana żadnej refleksji. Ale ten styl przytrafia się nawet osobom wykształconym. W schyłkowym okresie swojej medialnej działalności rekordy w

czołobitności wobec pojęcia postępu („modernizacja”) bił na łamach „Dziennika” Cezary Michalski, który uwolniwszy się od polskość (nie tylko on w jego otoczeniu), pożegłował ku świetlistym oceanom konsumpcji i „kapitalizmu korporacyjnego”.

Gdyby – jak Kolumb – żegłował w nieznane, byłby to tylko wybór pewnego światopoglądowego i strategicznego kierunku. Ale nie! Michalski żegluje na pewniaka. On swój zeświecczony Eden znajdzie na pewno, choć nie ma żadnej metody potwierdzenia, że tacy jak on Polacy, płynąc szlakiem sprawdzonym wcześniej przez innych, nie osiadną na mieliźnie. Ileż to razy słyszałem w kierownictwie “Dziennika” (którego były szef jest pod przemożnym wpływem Hegla), że prawicowe reformy trafiają w absolutną pustkę, “świat już uciekł daleko”, “Kościół ugrał wszystko, co chciał – i więcej nie dostanie”, “że kryzysu kulturowego właściwie nie ma”, “że w sumie jest dobrze”. Może to i prawda – dla funkcjonariuszy medialnej ekspozytury niepolskiego Axel Springer, którzy zarabiają po 20 tys. złotych, pisząc teksty, które nie wiadomo czemu właściwie służą (do tego niektórzy nietaktownie mają się za pravicowców).

W podobnych przypadkach niechęć, a nawet nienawiść do przeszłości, tradycji i kompletnie niezrozumianej religii sprawia, że medialni ideolodzy brną na ślepo w przód – bo tam ponoć jaśniej. A powrót do przeszłości – koniecznie tej strasznej „endeckiej” – jest niemożliwy? Czyżby? A skąd Państwo postępowcy to wiedzą? Czy państwo nic nie zrozumieli z historii oraz tekstów Poppera i wciąż uprawiają jakąś formę filozofii historii?

Ostatnio na stronach Salonu24 pojawiła się wypowiedź prominentnego blogera tego portalu. Autor kieruje pod moim adresem takie wątpliwości:

„Może to nas różni, że ja powątpiewam w wizję powrotu do miłego, pravicowego hobbitonu, w którym każdy będzie pielęgnował kwiaty i wspólne wartości, gdy już ewentualnie ta wymarzona przez Pana wspaniała prawica pokona siły ciemności...”.

Pomijam uszczypliwości. Po pierwsze, żadnego – niestety – miasta hobbitów nigdy w historii nie było i nie będzie. To utopia. Po drugie, ja takiego Hobbitonu nie postuluję. Postuluję to, co realne. Przyzwoitość – rozpowszechnioną we wszystkich sferach życia. A to jest wykonalne, mimo że naszą zachodnią przestrzeń publiczną zalewają figury nieprzyzwoite (co liberalno-lewicowych zwolenników postępu na ogół nie przeraża, ale – przeciwnie – stanowi dla nich potwierdzenie, że modernizacyjne zmiany następują). Nie ma co demonizować sytuacji. Istnieją potężne konserwatywne potencjały – także w polskim społeczeństwie, które ma durnych polityków, a i samo nie jest na tyle sprawne i pracowite, aby wygenerować lepszych.

Mój polemista z Salonu24 pisze:

„Po industrializacji, informatyzacji, w świecie koncernów i wszechobecnych logo, świecie strzeżonych osiedli, wyobcowania i wymuszonej emigracji za chlebem i godniejszym życiem, luksusów dość wąskiej elity i skromnego życia na kredyt sporej części społeczeństwa trzeba szukać nowych sposobów na uleczenie <>. Z tym zastrzeżeniem, że nigdy nie będzie on doskonały”.

I tu mamy postawę charakterystyczną dla optyki zlaicyzowanej! Ile setek razy Kościół był w historii w sytuacji dużo gorszej niż obecnie, kiedy ważyły się jego losy? Czy można wyobrazić sobie większą demoralizację ludzi niż w Imperium Romanum (choćby krwawe walki gladiatorów także w okresie Augustowej świetności), z którego właśnie wychodzi chrześcijaństwo?

W świecie „po industrializacji, informatyzacji, w świecie koncernów i wszechobecnym logo, świecie strzeżonych osiedli” jedno wydarzenie – 11 września – może obalić prostą historiozofię Fukuyamy. Jedna pandemia zmienia obyczajowość w skali planetarnej. Ale jasne, jeśli Opus Dei uważa się za totalne monstrum (tak!), to nie sposób intelektualnie wyrobić dlań przepustkę do jakoby koniecznego i nieodwołalnie rozpędzonego w tej formie świata „kapitalizmu korporacyjnego”, „konsumpcji”, „industrializacji” itd. A właściwie, dlaczego nie? Ani zdemonizowane absurdalnie Opus Dei, ani ja nie proponujemy niszczenia komputerów i likwidacji internetu. To jest walka z elitą opiniotwórczą, która wyłącznie we własnym interesie wmawia nam „nieodwracalność” i zdeterminowanie historii. Ich ze stołków się zdjąć nie da. Gwarantuje im to historyczny klej i dziejowe nity. Cała reszta nas można śmiało wywalić na zbity pysk.

Paweł Paliwoda